INFORMACJE
HISTORYCZNE I KULTURALNE
Z GMINY PILCHOWICE

KUŹNIA NIEBOROWSKA – LEBOSZOWICE – NIEBOROWICE – PILCHOWICE – STANICA – WILCZA – ŻERNICA

ISSN 2544-1094 NR 3 (34) SIERPIEŃ 2025 EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GMINA PILCHOWICE

Stanisław Wszołek pogranicznik z Wilczy

W bieżącym wydaniu:

Krzysztof Waniczek:
Miejsce na urlop?
Na przykład Pilchowice
str. 3-5

Edyta Duda:
Jubileusz 60-lecia
i mała historia
Koła Gospodyń Wiejskich
w Wilczy
str. 6-8

Waldemar Pietrzak:
Stanisław Wszołek
– pogranicznik z Wilczy
str. 10-11

Agnieszka Robok:
Lauby i waszkuchnie
str. 12-13

Karol Hrubesz:
Uśmiech z Pszowa
str. 14-16

Anna Surdel:
Działalność Stowarzyszenia
Pilchowiczanie Pilchowiczanom
str. 18-19

Ingemar Klos
Niy yno germanizmy
Nie tylko germanizmy
str. 20-21

Agnieszka Robok:
O tym, jak córka von Schroetera
książkę napisała,
a jego wnuk został upamiętniony
w Oxfordzie
str. 22-23

Na okładce: Stanisław Wszołek (z lewej) jego córka Stasia i Antoni Jamrus przed wilczańskim posterunkiem.

KIERUNEK GZM

Zadanie zostało dofinansowane z budżetu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii.

Drodzy Czytelnicy,

choć wakacje w pełni, w naszej gminie trudno mówić o letnim lenistwie! Codziennie coś się dzieje – kolejny raz wzięliśmy udział w największym festiwalu mikrowypraw w Polsce - Kierunek GZM, a nasz „Spacer z Wengerskymi po pilchowickich zakątkach" przyciągnął ponownie tłumy chętnych na zwiedzanie Pilchowic w towarzystwie Friedricha Wengerskyego i Karoliny de Tomatis.
Trwają półkolonie dla dzieci i młodzieży, odbywają się festyny sołeckie, a dzięki programowi „Sobota z Rodziną" oraz wydarzeniom z cyklu „Rodzinne spotkania pod chmurką", każdy znajdzie coś dla siebie.
Nie zwalniamy tempa, bo przed nami wielkie wydarzenie – Dożynki Gminy Pilchowice, które odbędą się już 7 września w Wilczy. Serdecznie zapraszamy wszystkich do wspólnego świętowania i szczególnie zachęcamy do udziału w korowodzie dożynkowym! Zbiórka uczestników na parkingu za Domem Kultury w Wilczy od godziny 14:00 – startujemy o 14:30. Czekamy na Was, Wasze ciągniki, wozy, scenki rodzajowe i dobry humor!
Przy okazji przypominamy, że nasza redakcja jest otwarta na nowych współpracowników. Masz ciekawą historię, pasję, pomysł na artykuł, a może po prostu chcesz spróbować swoich sił w pisaniu? Dołącz do naszego zespołu!
Życzę Wam miłej lektury, inspirujących spotkań i dużo słońca na kolejne letnie dni.

Z serdecznymi pozdrowieniami,
Waldemar Pietrzak
dyrektor GOK Pilchowice
redaktor naczelny
„Informacje Historyczne i Kulturalne z Gminy Pilchowice"

INFORMACJE HISTORYCZNE I KULTURALNE Z GMINY PILCHOWICE

Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Pilchowicach, ul. Karola Miarki 123, 44-189 Wilcza.
Redaktor naczelny: Waldemar Pietrzak.
Kolegium redakcyjne: Karol Hrubesz, Ryszard Pławecki, Agnieszka Robok, Genowefa Suchecka, Anna Surdel, Krzysztof Waniczek.
Projekt graficzny i skład: Piotr Skorupa.
Druk: Grupa Intromax Sp. z o.o., Kraków, ul. Biskupińska 21.
Nakład: 1000 egz. **ISSN** 2544-1094

Miejsce na urlop? Na przykład Pilchowice

Parę lat temu pojawił się pomysł: a gdyby pojechać na wakacje do „tych drugich Pilchowic"?

Okazało się, że oferta noclegowa w okolicy potencjalnego celu wakacyjnego wyjazdu jest ciekawa. A znacznie ciekawsza okazała się kwerenda map Google i internetowych przewodników pod kątem zwiedzania bliższej i dalszej okolicy dolnośląskich Pilchowic.

Pierwsza wzmianka o miejscowości o nazwie Pilhouic pochodzi z 1217 roku, co też jest uwiecznione na kamieniu pamiątkowym koło kościoła, i która to forma posłużyła za źródło nazwy po roku 1945.

Od czasów średniowiecza nazwa miejscowości przybierała różne formy i różne brzmienie, jednak cały czas była zbliżona do staro-wysoko-niemieckiego słowa „mura", które oznacza „końcówkę" lub „pozostałość".

W kolejnych latach nazwa wsi brzmiała m.in. Magna Mura ac Parva (1349), Mouwer (1371), Mawer, Mauer (1677), w XVIII wieku podział na Ober- i Niedermauer (czyli podobnie jak u nas z Wilczą), a następnie w 1941 ponownie Mauer.

Po roku 1945 przyjęto nazwę Pilchowice. Obecnie ta malowniczo położona w dolinie rzeki Bóbr miejscowość jest zamieszkana przez ponad 600 mieszkańców.

Głównym obiektem zainteresowania turystów jest oczywiście ukończona w 1912 roku zapora wraz z jeziorem i budynkami towarzyszącymi, m.in. hydroelektrownią. Zapora powstała w wyniku programu zapobiegania zalaniom, stworzonego po tragicznej powodzi z 1897 roku, kiedy wiele osób zginęło lub zostało rannych, a straty w regionie wyceniono na miliony marek.

W uroczystym otwarciu zapory uczestniczył sam „cysorz Wiluś", a z okresu budowy zachowało się wiele zdjęć, dzięki którym możemy zobaczyć, jak wyglądała okolica ponad sto lat temu.

Niedaleko zapory znajdziemy obiekty kolejowe: tunel, malowniczo położoną stacyjkę oraz most, który stał się sławny wskutek planu wysadzenia go do filmu Mission: Impossible 7.

Do wysadzenia mostu ostatecznie nie doszło dzięki działaniom miłośników zabytków, ale dyskusja była gorąca, a media dotarły do Szczepana Twardocha z pytaniami „co sądzi o wysadzeniu mostu w Pilchowicach"... Dodajmy, że wcześniej nieudaną próbę wysadzenia mostu podjęli wycofujący się Niemcy w 1945 roku.

Pilchowice. Zapora.

Między stacyjką a tunelem wprawne oko wypatrzy zabytkowe szyny kolejowe, sygnowane między innymi napisami „FH 1912" oraz „BOCHUM 1890". Inny żelazny most, również zabytkowy, znajduje się w centralnej części Pilchowic i opatrzony jest napisami „Union Horst nr 22", czyli nazwą huty w Essen, w której odlano jego elementy.

Z zabytków przemysłowych warto wspomnieć chociażby fabrykę papieru i tektury noszącą dawniej nazwę „Marienthal", napędzaną niegdyś kołami wodnymi, a także kamieniołomy i wapienniki.

Architektura jest również bardzo interesująca i doskonale współgra z górzystym krajobrazem. Dużo jest budynków z elementami drewnianymi lub konstrukcją szachulcową, a wiele z nich jest odnowionych.

Pilchowice. Most z filmu Mission Impossible.

Pilchowice. Zabytkowe szyny towarowe.

Można wypatrzyć szczegóły, zwane przeze mnie mikrozabytkami, takie jak na wpół zatarte napisy „Gasthaus" i podobne. Wiemy, że podobnie jak dawniej w naszych Pilchowicach, było tu kilka lokali o wdzięcznych nazwach np. „Gasthaus zum Goldenen Anker" czyli „Gospoda pod Złotą Kotwicą" czy „Lindenhof".
Istniał tu także browar i w tym punkcie musimy przyznać tamtym Pilchowicom pewien prymat...
Dolnośląskie Pilchowice mają jeszcze jedną przewagę, która powinna przypaść do gustu miłośnikom obserwacji nocnego nieba. W przeciwieństwie do naszej miejscowości, Pilchowice nie mają za sąsiadów dużych miast i ich świateł, dzięki czemu doskonale widać gwiazdy, często u nas niedostrzegalne. Uczestnicy naszego wyjazdu wieczorami wynosili koce i gapili się w niebo licząc meteoryty.
W Pilchowicach znajduje się kościół, którego galerie od razu zdradzają miłośnikowi historii, że pierwotnie został zbudowany jako zbór protestancki. Przy kościele znajdował się niegdyś cmentarz, po którym pozostały pojedyncze nagrobki. Dawniej przed kościołem był też, jak w każdej niemieckiej miejscowości, pomnik poległych w I Wojnie Światowej. Po 1945 r. został jednak zniszczony – podobnie jak u nas - a jego podstawy użyto do stworzenia pamiątkowego pomnika 800-lecia miejscowości, a także jako miejsca dla wzruszającej tablicy pamiątkowej dawnych mieszkańców wsi Mauer.
W najbliższym sąsiedztwie Pilchowic jest ogrom miejsc, które przypadną do gustu wędrowcom. Już po pokonaniu niecałych dwóch kilometrów dociera się do bajkowego Dzikiego Wąwozu, który znajduje się na terenie dawnego parku dworskiego w Maciejowcu.

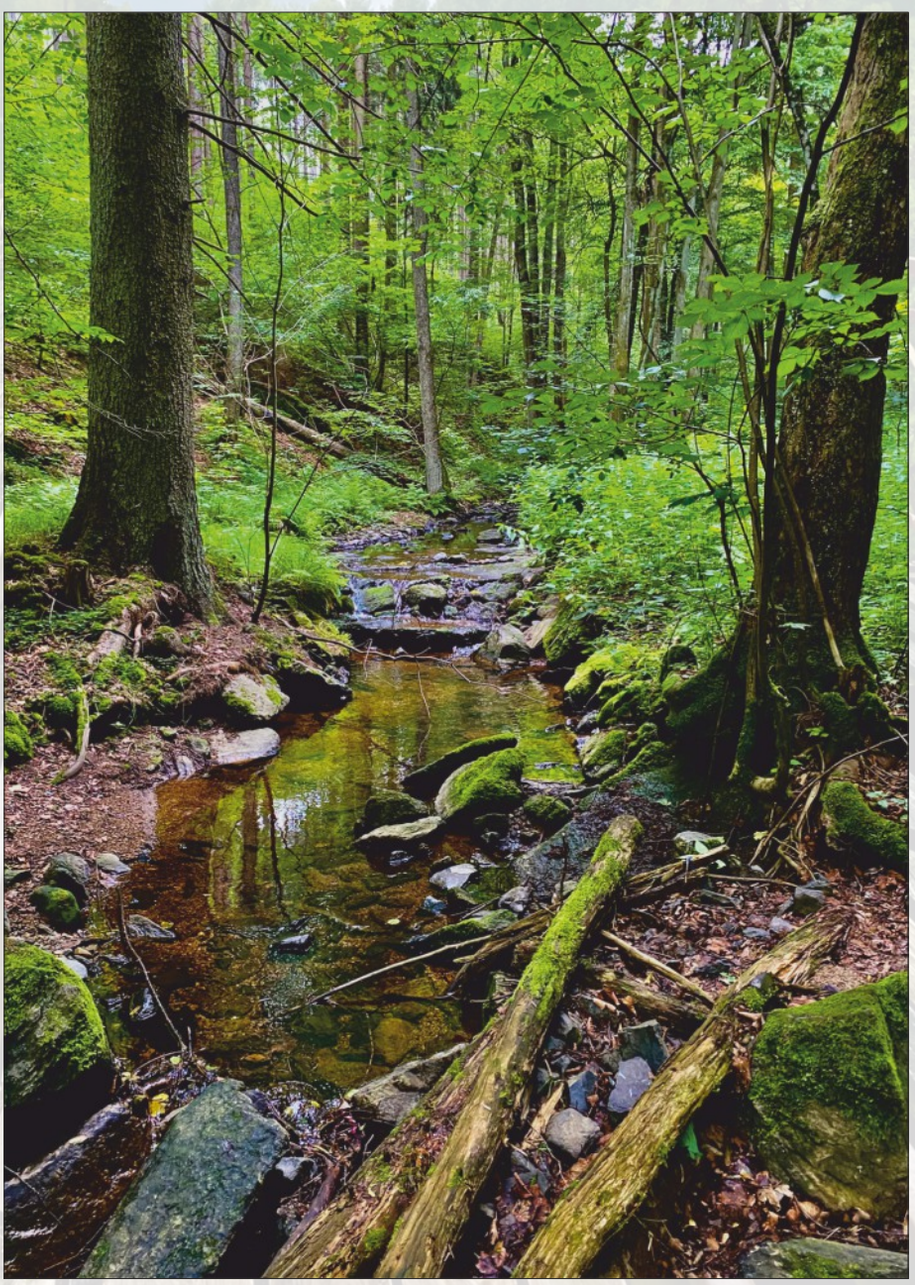

Maciejowiec. Dziki Wąwóz.

Miejsce trudno opisać słowami: poprzez skalne progi i małe wodospady, pod naturalnymi mostami ze zwalonych drzew płynie potok. Zdarza się, że podchodzi pod skalne ściany, a kiedy indziej płynie obok małych łączek. Co jakiś czas można minąć kamienne ławki stanowiące element dawnego wyposażenia parku, a miłośnicy chodzenia poza szlakami mogą na zboczu wzgórza odkryć pozostałości okopów. Po przejściu kolejnego kilometra trafiamy do Maciejowca, w którym znajdują się: dwór obronny, remontowany pałac, kościół w parku, stare parkowe drzewa i krzewy oraz mauzoleum rodziny von Kramsta, dojście do którego nawet w słoneczny dzień budzi nieco horrorowe skojarzenia. I to wszystko po przejściu szlaku w jednym kierunku.

W innym mamy kolejne atrakcje jak chociażby Radonice (kościół, wapienniki) i inne miejsca, gdzie dotrzemy bez ruszania samochodu i przy niewielkim wędrówkowym wysiłku. Dodajmy do tego kapliczki, rozsiane w polach krzyże pokutne, kamienne mostki nad potokami…

Do tego widoki: panorama Karkonoszy czy doliny Bobru. Aby jednak gdzieś wędrować, trzeba mieć bazę, i tutaj też nie będziemy rozczarowani, ponieważ sporo jest w okolicy obiektów agroturystycznych, pensjonatów czy pięknie wyremontowanych domów na wynajem.

Jest wspaniały pensjonat o nazwie Lawendowy Raj, i faktycznie stanowi prawdziwą oazę z widokiem na pola lawendy.

Jeśli będziemy chcieli zobaczyć coś w dalszej odległości, to można w końcu ruszyć samochód (my zrobiliśmy to dopiero w ósmym dniu pobytu).

W najbliższym sąsiedztwie, około 10 kilometrów, leżą: unikalna wieża książęca w Siedlęcinie i malowniczy zamek we Wleniu, przy którym znajduje się pałac Lenno z biletem wstępu w postaci kawy i ciacha z widokiem na Riesengebirge czyli Karkonosze.

Wystarczy przejechać nieco dalej w jedną czy drugą stronę, aby zobaczyć potężny zamek Grodziec stojący na szczycie wygasłego wulkanu, słynny kościołek Wang, kolorowe jeziorka, czy odwiedzić miasteczko, które zniknęło, czyli Miedziankę. Pośrodku tego wszystkiego znajduje się wioska, z którą dzielimy nazwę - spokojne i przyjazne miejsce, gdzie po którymś dniu mówi się już „dzień dobry" stałym bywalcom sklepu, a panie z obsługi zapisują na pieczywo: „1 chleb i 15 bułek Pilchowice - Gliwice".

Z chęcią tam wrócę, i szanownych PT czytelników namawiam do odwiedzenia naszego „dolnośląskiego bliźniaka". Niektórzy nasi mieszkańcy skorzystali już ponoć z takiej możliwości, a nasza straż pożarna nawiązała kontakty z tamtejszą OSP, czego efektem było spotkanie pilchowickich druhów z pilchowickimi kolegami po fachu w Żernicy kilka lat temu.

Być może uda nam się pogłębić te kontakty i zorganizować wycieczkę, na przykład we współpracy z naszym Gminnym Ośrodkiem Kultury, a może mecz towarzyski naszych drużyn piłkarskich?

Podsumowując, nasz „dolnośląski bliźniak" może chyba spodziewać się pokojowej inwazji, jak to ujął jeden z komentujących na Facebooku. Mam też nadzieję, że po lekturze tego artykułu ktoś z PT Czytelników zdecyduje się odwiedzić to bogate historycznie i krajobrazowo miejsce.

Wleń - Zamek.

Siedlęcin. Wieża książęca.

Krzysztof Waniczek

Napisano w Pilchowicach x 2, Dolny i Górny Śląsk, lipiec 2025.

Zródła:
https://polska-org.pl/737107,foto.html?idEntity=5785713
https://www.wlen.org.pl/pilchowice/pilchowice.html
https://pl.wikipedia.org/wiki/Pilchowice_(wojew%C3%B3dztwo_dolno%C5%9Bl%C4%85skie)

Jubileusz 60-lecia i mała historia Koła Gospodyń Wiejskich w Wilczy

Napisanie tego artykułu było dla mnie wielkim wyzwaniem, ale w życiu można wszystkiego próbować. Wzięłam więc pióro (usiadłam do komputera), swoje myśli ubrałam w słowa i przelałam na ten papier.

Nad naszym kołem dziś ptaszki fruwają i piękny jubileusz zapowiadają, 60 lat tradycji i gwary śląskiej pielęgnowanie, do tego praca rąk naszych i wszystko to w sercach i pamięci na zawsze pozostanie.

W roku 2025 przypada ważny dla naszego koła jubileusz, a tymi słowami 22 lipca 2025 jako przewodnicząca koła, serdecznie przywitałam wszystkie przybyłe na te obchody członkinie koła i wielu zaproszonych gości.

Same obchody rozpoczęła msza święta odprawiona w parafialnym kościółku w Wilczy, a odprawił ją nasz proboszcz i gość na naszym jubileuszu ksiądz Jan Mrukowski. W swoim kazaniu nawiązał nie tylko do historii i zadań wpisanych do wszystkich Kół Gospodyń, ale też do naszej patronki świętej Anny.

Po uroczystej mszy św. razem z gośćmi zrobiliśmy wspólnie zdjęcie, które na pewno trafi do naszej kroniki, a potem udaliśmy się wszyscy na dalszą część obchodów naszego święta do sali Domu Kultury.

Po krótkim przywitaniu i wstępie, który został wyżej zacytowany, oddałam głos naszym miłym gościom, usłyszałyśmy od nich wiele miłych słów i życzeń skierowanych do członkiń, otrzymałyśmy piękne dyplomy i inne prezenty. Jednak w tym wszystkim najważniejszy był wspólnie spędzony czas.

I tak naszymi zacnymi gośćmi na tym pięknym jubileuszu byli: ks. Jan Mrukowski, wójt gminy Maciej Gogulla, zastępca wójta Aleksandra Skwara oraz dyrektor GOK-u Waldemar Pietrzak. Cieszyło nas też, że zaproszenie przyjął dyrektor Zespołu Szkolno-Przedszkolnego Artur Mielczarek i sołtys naszej wsi Adam Owczorz. Wśród gości byli też: prezes OSP Bernard Paszek, prezes Koła Emerytów Andrzej Groborz i Erwin Sapik – właściciel i przewodnik po lokalnym Małym Muzeum „Klamory u Erwina".

Nie jesteśmy młodym kołem, średnia wieku wynosi 70+, dlatego ucieszyło nas, że młodzi przedstawiciele naszej wsi, nasi radni w osobach: Józef Rusin, Sylwester Ciukaj i Krzysztof Musiolik też przyjęli zaproszeni i z nami świętowali.

Po tych życzeniach był wspólnie wzniesiony toast i przy wspólnym stole zjedliśmy smaczny i ciepły obiad.

Pierwszy raz odkąd prowadzimy Koło Gospodyń Wiejskich w Wilczy z nowymi zasadami i rejestracją w ARiMR tj. od maja 2019 roku pozwoliłyśmy sobie zamówić obiad z cateringu byśmy mogły też usiąść i spokojnie świętować. Nie jest to naszą zasadą, bo zawsze poczęstunki przygotowujemy same, ale to nasze „małe lenistwo" było chyba usprawiedliwione w tym dniu.

Zresztą kolejny, ale już słodki deser podany nieco później, to dzieło członkiń, a były dwa duże, piękne i oczywiście wyśmienite torty. Upiekły je na ten jubileusz członkinie zarządu koła: Edyta Groborz, Brygida Wieczorke, Joanna Palenga i Gabriela Sapik i oczywiście zebrały za to duże brawa od wszystkich.

Już po obiedzie Zespół Śpiewaczy „Wilczanki", który wywodzi się w całości z naszych członkiń, uraczył nas swoim występem. W jego wykonaniu usłyszeliśmy pierwszą pieśń w kościele na rozpoczęcie, a potem na zakończenie mszy świętej. Tam w świątyni na pięknych, zabytkowych organach grał Piotr Dudek, nasz organista, dając podkład muzyczny „Wilczankom".

Z kolei już na sali zespołowi przygrywał Wiesław Tarasiuk, który bardzo często im towarzyszy. Występ uświetnił jubileusz, oprawa muzyczna była przygotowywana od dawna.

Trudno w to uwierzyć, ale zespół ten prowadzi od jego powstania jedna z najstarszych i najdłużej sprawująca funkcję przewodniczącej koła Janina Wymysło. Do jej osoby jeszcze w tym artykule powrócimy.

Po artystycznej części naszego jubileuszu 60-lecia działalności Koła Gospodyń Wiejskich w Wilczy, przyszła pora na wspomnienia i w skrócie podaną historię koła, którą przedstawiłam najlepiej jak umiałam.

Sześćdziesiąt lat wstecz, czyli w 1965 r. to koło rozpoczęło swoją działalność, inicjatorką była Dorota Skupień razem z ówczesną agronom Janiną Łój.

Udało się zachęcić wiejskie gospodynie do wstąpienia do założonego koła i już na obchodzonym Dniu Kobiet w marcu 1965 r., koło liczyło 57 członkiń, a jego pierwszą przewodniczącą została właśnie Dorota Skupień.

Jednak ze względu na liczne obowiązki jako sekretarz Gminnej Rady Narodowej tę funkcję pełniła tylko dwa lata, ale w składzie zarządu była nadal. Kolejne przewodniczące to: Łucja Kowol (najstarsza nasza członkini, bo od założenia do dziś jest w kole, a liczy sobie 95 lat), Krystyna Kuczawska, Otylia Palarz i oczywiście Janina Wymysło, która funkcję przewodniczącej koła objęła w 1981 roku i prowadziła do 2019 roku. Po niej prowadzenie koła przejęłam ja – Edyta Duda.

Pani Janina to kobieta bardzo pracowita, o ogromnym i dobrym sercu, szczerym uśmiechu, potrafiąca nie tylko do czegoś zachęcać, ale służyć dobrą radą i pomocą.

Do dzisiejszego dnia jest aktywną członkinią i jak już wcześniej wspominałam prowadzi zespół śpiewaczy Wilczanki, który przez okres pandemii został uśpiony, jednak jej udało się wspólnie z Klaudią Sadecką obudzić go na nowo i działają wspaniale.

Historię naszego koła można prześledzić w prowadzonych kronikach, a jest ich już pięć, są tam nie tylko notatki, wspomnienia, ale i zdjęcia dokumentujące to co robiono. Te kroniki prowadziły kolejno Jadwiga Kozielska (nauczycielka szkoły w Wilczy), Janina Wymysło i ja najnowszą historię koła.

Już podczas mszy świętej proboszcz wspomniał jakie zadania i cele miały na ogół wszystkie Koła Gospodyń w Polsce, a były to głównie krzewienie wiedzy i kultury, dbanie o zachowanie i szanowanie tradycji. Koła prowadziły liczne kursy, szkolenia, pogadanki. Tematyka tych zadań była powiązana z czasami, w jakich koło działało, dlatego na przestrzeni lat te zadania ulegały modernizacji i musiały iść z duchem czasu, zachowując cele statutowe.

W tamtych latach nasze koło to właśnie czyniło, a z kronik wynika, że prowadziło też wypożyczalnię sprzętu gospodarstwa domowego i naczyń oraz posiadało nowoczesny magiel elektryczny (pewnie młode pokolenie nawet nie wie jak to urządzenie wyglądało).

Członkinie koła brały też udział w licznych festynach, konkursach, robiły piękne korony dożynkowe i tak jest do dziś. To ta starsza historia w dużym skrócie, a my dzisiaj działając na trochę innych zasadach staramy się też podołać nie tylko zadaniom statutowym, ale wkładamy dużo serca, by wprowadzać coś nowego, pożytecznego, coś co zostanie od nas dla następnych pokoleń.

To co było tego nie likwidujemy, a staramy się kontynuować. Do tych zadań dołożyliśmy też spotkania z przedszkolakami, prowadzimy z nimi małe warsztaty i opowiadamy o naszym kole.
Dwa razy do roku jesteśmy zapraszane na kiermasze i jarmarki do gmachu ZUS-u w Zabrzu, udzielałyśmy wywiadu o naszych tradycjach w Radiu CCM. Staramy się dobrze współpracować z wszystkimi organizacjami i szczeblami władzy w naszej wsi i gminie.
Bierzemy czynny udział w uroczystościach państwowych, gminnych, lokalnych i kościelnych. Od samego początku kiedy nowy zarząd objął prowadzenie koła włączyłyśmy się na stałe w pieczenie bożonarodzeniowych pierników, lukrowanie ich, a potem z okazji świętego Mikołaja (nasz odpust parafialny) rozdajemy je po mszach świętych mieszkańcom i gościom. Pierwszy raz w ubiegłym roku zorganizowałyśmy Jarmark Bożonarodzeniowy, który mimo niesprzyjającej pogody zaliczył zaskakującą frekwencję i ogromną ilość zebranych pochwał, co nas zawsze bardzo mobilizuje i cieszy.
Staramy się organizować wyjazdy do teatru, na wycieczki czy organizować warsztaty, by bardziej integrować w kulturalny sposób mieszkańców naszej wsi. Wszystkie ozdoby potrzebne do wystroju sali na nasze spotkania, uroczystości i oczywiście na festyny, dożynki robimy same. Nasze korony dożynkowe każdego roku mają inny kształt, w którym chcemy przekazać nasz szacunek do chleba i pracy rolników.
Kończąc powoli ten artykuł muszę wspomnieć, że w 1994 roku w Dniu Matki (26 maja), Koło Gospodyń Wiejskich w Wilczy doczekało się poświęcenia pięknego sztandaru, a poświęcenia dokonał ówczesny proboszcz ks. Edward Piegza.
Ten sztandar towarzyszy nam na wszystkich ważnych uroczystościach i bardzo się nim szczycimy, z nim odprowadzamy na miejsce wiecznego spoczynku nasze koleżanki z koła, a do dnia naszego jubileuszu, odeszły już 44 członkinie.
Wszystkie osoby zainteresowane historią tą starszą i nowszą zachęcam do zajrzenia do naszych kronik i do galerii zdjęć w naszym GOKu.
Powoli obchody jubileuszu istnienia Koła Gospodyń Wiejskich w Wilczy dobiegają końca i myślę, że wisienką na torcie będzie nasza największa radość, pamiątkowa publikacja z naszymi przepisami kulinarnymi.
Pomysł przedstawiła zarządowi nasza członkini Maria Losza i bardzo nam się spodobał, a jeszcze większym zaskoczeniem było dla nas, że dyrektor GOK-u też był nim zachwycony.
Dziś składam mu w imieniu koła gorące podziękowanie za zaangażowanie w wydanie tej książki, że ujrzała światło dzienne, a całemu zarządowi i członkiniom za ich wkład pracy w książkę, w tę uroczystość i ponad 6-letnią już ogromną pracę na rzecz koła.
Jubileusz został utrwalony na zdjęciach, które znajdą się w naszej kronice i galerii zdjęć, za co dziękujemy fotografowi Marcinowi Baranowskiemu, który także był naszym gościem.

Edyta Duda

Przewodnicząca KGW w Wilczy

Cztery cery wydane

- jak Panny Friëdlander ze Stanicy stały się żonami karczmarzy mikrohistoria № 1

Znane nam już doskonale małżeństwo Friëdlanderów ze Stanicy, jak wiemy miało syna i cztery córki - Johanne, Teherese, Pauline oraz Caroline.
Pan Friëdlander do pewnego momentu był Żydem, ale żeby łatwiej było mu prowadzić swoje biznesy, na wiarę rzymsko-katolicką przejść postanowił i wraz z żoną w Stanicy krzyż przy kościele ufundował, co już też wiecie, bo nawet Friëdlanderowie z tyłu krzyża się podpisali.
Johanne została żoną Wiechulli z Pilchowic, którego krewni mieli karczmę aż w Kłodnicy.
Therese za żonę pojął Juliusz Wydra z Dziergowic.
Pauline została żoną młynarza Paula Przegendzy z Górek.
Jako ostatnia - w 1873 r. - za mąż wyszła Caroline. Jej wybrankiem został Jan Banik, także syn karczmarza.
Można by rzec, że największego pecha miała Caroline, bowiem mąż zostawił ją z siódemką dzieci umierając młodo w 1889 r.
Caroline długo samotnością się nie smuciła, bo zaledwie 9 miesięcy we wdowim stanie będąc, poślubiła Machoczka z Ochojca.
Machoczkowie zarządzali tutejszą karczmą tak długo, jak tylko mogli, czyli do 1945 roku.
Budynek stoi do dziś, a jak wyglądał kiedyś prezentujemy poniżej.
Niewiele się zmienił wygląd zewnętrzny.
Za to Alfred Machotzek i jego żona Maria stali się bohaterami przedwojennej niemieckiej wywiadowni gospodarczej W. Schimmelpfeng, ale o tym w kolejnej opowieści...

Adam Lipiński

Źródłem fotografii jest przepastne archiwum zdjęciowe Pana Andrzeja Knapika.

PROŚBA - PROŚBA - PROŚBA - PROŚBA

Jeśli ktokolwiek posiada jakiekolwiek informacje, dokumenty, fotografie lub wspomnienia związane z pilchowickimi Żydami, proszony jest o kontakt z autorem artykułu.
Czasem nawet zasłyszane opowieści lub plotki mogą pomóc w uzupełnieniu opowieści o wielokulturowych i wielonarodowościowych Pilchowicach.
Zachęcamy do kontaktu poprzez e-mail: plipin@go2.pl lub telefonicznie: 603 36 37 36.

Stanisław Wszołek – pogranicznik z Wilczy

Współcześnie tylko czasami można jeszcze natrafić na ślady polsko-niemieckiego pogranicza na terenie naszej gminy. Nie mniej tych „znaków" jest jeszcze sporo, a najbardziej widocznymi są budynki „zollhausów", czyli urzędów celnych, jak te na Łużach, czy odnowiony niedawno na Dolnej Wsi.

Służący w nich celnicy pochodzili z różnych regionów Polski, wielu z nich znalazło tu swoje miejsce życia. Poznajmy kolejnego z nich.

Stanisław Wszołek, urodzony 17 lutego 1907 roku w Binarowej (ówczesne woj. rzeszowskie), całe dorosłe życie poświęcił służbie państwowej – najpierw w Korpusie Ochrony Pogranicza, później w straży celnej, a po wojnie również w milicji.

Jego losy splotły się na lata z Wilczą – miejscowością, którą pokochał i do której powrócił po dramatycznych przejściach wojennych.

Po ukończeniu szkoły podstawowej trafił do wojska, gdzie został przydzielony do Korpusu Ochrony Pogranicza. Służbę zasadniczą odbywał w Rawie Ruskiej – jednym z newralgicznych punktów wschodniej granicy II Rzeczypospolitej. Tu rozpoczął kolejny etap życia. Ukończył specjalistyczny kurs przewodnika psów służbowych – jednego z najtrudniejszych i najbardziej odpowiedzialnych w przedwojennej Straży Granicznej. Jego podopieczny nosił imię „Indeks".

W 1929 roku utworzono Zakład Tresury Psów Granicznych, który był częścią Centralnej Szkoły Straży Granicznej.

W 1933 przeniosła się z Góry Kalwarii do Rawy Ruskiej. Kurs na przewodnika psa służbowego trwał 8 miesięcy. Kandydaci musieli spełniać następujące kryteria: ukończony kurs przeszkolenia w Centralnej Szkole SG, wrodzone zamiłowanie do zwierząt, a szczególnie psów, spryt, stateczność i cierpliwość, zdrowy organizm, stan cywilny - kawaler.*

Ten sam kurs ukończył inny pogranicznik z Wilczy Antoni Jamrus, o którym pisałem w numerze nr 2 (21) 2022. Dzięki porównaniu zdjęć wiemy, że służyli razem na posterunku w Wilczy. Wcześniej dostał przydział do Rybnika.

Rok 1934. Męska drużyna harcerska w towarzystwie Karola Reginka (kierownik szkoły) i Stanisława Wszołka.

* Andrzej Masłoń; System kształcenia Polskich Formacji Granicznych, w: Problemy Ochrony Granic. Biuletyn nr 9 (1999), s. 7 - 52.

Przed wilczańskim posterunkiem (od lewej: Stanisław Wszołek i Antoni Jamrus).

Stanisław Wszołek
(zdjęcie z okresu okupacji).

Budowa Kopca Józefa Piłsudskiego w Krakowie.

Ożenił się z Elżbietą z domu Kulik z Wilczy Dolnej i aktywnie włączył się w życie społeczne Wilczy: opiekował się drużyną harcerską i wspierał kierownika szkoły, Karola Reginka.
W przededniu wojny został przeniesiony do Gołkowic, a następnie na Zaolzie, gdzie niemiecki aparat bezpieczeństwa po aneksji terenu dokonał aresztowań polskich celników.
Stanisław Wszołek został zatrzymany i wywieziony w głąb Niemiec – jednak udało mu się uciec z transportu.
Powrócił do rodzinnej Binarowej, gdzie ukrywał się i działał w ruchu oporu. Prowadził skup mleka i ubojnię – łącząc działalność gospodarczą z konspiracją.
Po wojnie wrócił do Wilczy i przez pewien czas mieszkał u rodziny Nastula. Przyjął pracę w milicji w Knurowie, jednak nie czuł się tam dobrze – wystarał się o przeniesienie do służby celnej, najpierw w Gołkowicach, a później w Chałupkach, gdzie pracował aż do emerytury.
Zmarł 27 kwietnia 1970 roku. Spoczywa na cmentarzu w Zabełkowie, obok granicy, której przez lata strzegł z oddaniem i honorem.
Stanisław Wszołek był funkcjonariuszem, ale i społecznikiem, wychowawcą, sąsiadem. Jego losy pokazują, jak dramatycznie potoczyło się życie wielu ludzi z pogranicza i jak silną mieli wolę, by służyć i budować wspólnotę.
Życiorys kolejnego wilczańskiego strażnika granicznego ustalił nieoceniony Erwin Sapik, który spotkał się z synem i synową Stanisława, którzy udostępnili mu fotografie i opowiedzieli o jego losach.

Waldemar Pietrzak

Lata 30 minionego wieku. Rodzina Chwolka przed domem.

Lauby i waszkuchnie

Mówiąc o śląskim domu przychodzi nam na myśl wiele charakterystycznych dla niego elementów niespotykanych w innych regionach kraju. Napiszę o dwóch z nich: o laubie i waszkuchni.

Dzisiaj mówiąc „lauba" mamy na myśli drewnianą altankę w ogrodzie, gdzie latem można zrobić grilla i posiedzieć ze znajomymi czy rodziną.
Dawniej lauba oznaczała ganek, który był niemalże nieodzownym elementem każdego murowanego śląskiego domu.

Słowo lauba pochodzi z języka niemieckiego, gdzie „die Laube" znaczy „altana, ganek, podcień".

Dawne budynki wiejskie zazwyczaj nieosłonięte od wiatru, stojące często pojedynczo w polu, z nieposiadającą izolacji od zimna sienią, szybko traciły ciepło przy otwieraniu drzwi wejściowych. Zacinający deszcz lub śnieg wpadały do sieni oziębiając ją.
Pod koniec XIX wieku pojawiła się moda na dobudowywanie przed wejściem werandy nazywanej laubą.
W laubie zazwyczaj była też ławeczka, a najczęściej 2 ławeczki po obu jej stronach. Gospodynie często strugały tam ziemniaki czy wykonywały inne domowe prace w czasie niepogody lub w upalne dni, kiedy lauba dawała schronienie przed słońcem.

Lauby były też miejscem odpoczynku, pogawędek, spotkań towarzyskich i sąsiedzkich w dni świąteczne. Czasem siadały tam sąsiadki, żeby „poklachać".

Lauby były nie tylko praktyczne, ale też stanowiły element dekoracyjny domu. Najpiękniejsze lauby robiono z drewna. Często miały piękne ażurowe ścianki, profilowane słupki podtrzymujące dwuspadowy daszek czy wzory wycinane na deskach.
Takie lauby stanowiły często tło pamiątkowych fotografii, dzięki czemu dzisiaj możemy podziwiać ich piękno.
Nowsze lauby – murowane, z oknami i przeszklonymi drzwiami nie mają już tyle uroku, choć na pewno są praktyczne.
Zimą, na przykład, w takiej laubie można zostawiać ciasta lub potrawy do wystygnięcia, bo lauba nie jest ogrzewana i jest tam chłodniej niż w pozostałej części domu. Dzisiaj niewiele już zachowało się drewnianych laub.

W Pilchowicach udało mi się odnaleźć tylko jedną - już nie taką, jak te najstarsze, nieco „nowocześniejszą", bo z przeszklonymi oknami i drzwiami, ale bardzo piękną.

Natomiast murowane lauby są bardzo popularne - można je zobaczyć przy wielu śląskich domach budowanych do lat 80. XX w.

Waszkuchnia, fikicha, waszkicha, ciaperkuchnia - to słowa używane na Śląsku na określenie letniej kuchni lub jak niektórzy mówią „kuchni na co dzień". Takie kuchnie pojawiały się w śląskich domach już na początku XX w. - nie tylko w murowanych, ale i drewnianych.
Ciaperkuchnie mieściły się zazwyczaj nie w budynku mieszkalnym, ale w zabudowaniach gospodarczych, czasem znajdowały się na tyłach domu lub stanowiły swoisty łącznik między częścią mieszkalną, a gospodarczą.

W śląskim domu oprócz waszkuchni, w której wykonywało się wszystkie prace „przi kerych szło fest namarasić" była jeszcze jedna kuchnia - elegancka, „od święta".

Ciaperkuchnia jest czymś tak na wskroś śląskim, że nie umiem o niej pisać inaczej, jak po śląsku.
Tak wiync we waszkuchni przebywało się zazwyczaj latym. Tam się warzyło dlo ludzi i dlo gowiedzi, zaprawiało, robiyło pranie, biglowało, tam tyż odbywało się większość prac związanych ze świniobiciym.
Kuchnia - a latem właśnie waszkuchnia - były centrum śląskiego domu, tu skupiało się życie całej rodziny. Tu małe dzieci bawiyły się na dece, a starsze robiły zadanie do szkoły.
Tu przi wynglowym piecu siedziała starka, kero umiała bojać nojlepsze bojki na cołym świecie, a miyndzy jednom a drugom bojkom dopciepywała wongla ze kołkastli do pieca.

W waszkuchni musiała być tyż leżanka, na kery mog sie legnonć łojciec, jak przichodzioł po szychcie do dom abo bajtle, kerym koło połednia łoczy same się zawierały.

Nad leżankom wisiała czynsto makatka z wyhaftowanymi przysłowiami albo modlitwami abo tyz trzcinowo mata. We waszkuchni była tyż ryczka, kero wywrócono do gory szłapami mogła służyć dzieciom do jazdy po delowce (stąd powiedzenie „pojedziesz ryczkom pod łożko").
Pod ścianom stoł bifyj, na kerym się stowiało świynte figurki, zygor i kaj oma zawsze miała schowane dlo dzieci jakie maszkety. Boł tyż stoł przi kerym się śniodało i wieczerzało.

Latym we waszkuchni woniało kompotym, a na jesiyń krupniokami i welflajszym…

Domy na ulicy Smolnickiej w Leboszowicach - 1900 rok.

Zdjęcie ze zbiorów pani Anny Klyszcz.

Waszkuchnia jest w domu mojej babci i w domu prababci. Są nadal używane, choć ich wygląd i wyposażenie uległy pewnym unowocześnieniom.
W wielu śląskich domach waszkuchnie są ciągle wykorzystywane, choć chyba coraz mniej w nich można znaleźć tamtej niezwykłej atmosfery ciepła i bliskości, jaką z dawnych lat pamiętam ja i zapewne również nasi czytelnicy.

Agnieszka Robok

Uśmiech z Pszowa

Pisałem już kiedyś o Rudach, o Górze Świętej Anny, o Piekarach, ale jakoś tak pominąłem Pszów.

Kiedyś było to ważne miejsce pielgrzymkowe też dla nas ludzi Pilchowic. Dawne to już były dzieje, bo sięgają czasów rządów Wengerskych u nas i czasów, kiedy naszym wybitnym proboszczem był ksiądz Stanislaus Siegmund.

Myślę, że nadal Pszów jest ważnym miejscem kultu dla niektórych z nas. Dzisiaj jednak pielgrzymujemy raczej do św. Anny, Rud albo Piekar. Warto więc przypomnieć Pszów i to sanktuarium, do którego pielgrzymowali nasi przodkowie.

Pszów. Historycy różnie tłumaczą nazwę tego miejsca. Czasem od psa lub psów. Nie ma jednoznacznej interpretacji. Ja, jako nie historyk, mogę sobie pozwolić na swoją interpretację nazwy tego miasteczka, co wcale nie musi być trafne. Pszów kojarzy mi się ze starym śląskim słowem pszoć czyli kochać. W kontekście sanktuarium maryjnego interpretacja taka jakoś mi pasuje – tyle, że sanktuarium maryjne powstało dużo później…

Miasteczko Pszów leży w najwyższym punkcie tak zwanego Płaskowyżu Rybnickiego niedaleko Wodzisławia, Rybnika, Raciborza, Jastrzębia, Żor, więc stosunkowo niedaleko od Pilchowic. Pierwsze wzmianki o tym miejscu udokumentowane historycznie pochodzą z końca XIII wieku - mniej więcej z tego samego czasu, kiedy lokowano nasze Pilchowice. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy powstawał nasz pierwszy kościół pilchowicki, tam również wybudowano pierwszy drewniany kościół i powstała parafia pod wezwaniem Św. Krzyża.

Niewątpliwie miejscowość Pszów istniała dużo wcześniej niż koniec XIII wieku. Po najeździe tatarskim w 1241 roku została zniszczona i lokowana od nowa na prawie niemieckim. Wiele było na naszym terenie takich miejscowości. Przez całe średniowiecze wieś niczym specjalnym się nie wyróżniała. W 1350 roku wybudowano nowy, murowany już kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Czasem w różnych dokumentach gospodarczych pojawiali się jej właściciele i proboszczowie parafii, jednak trudno prześledzić dzieje bardziej szczegółowo, bo reformacja i wojna trzydziestoletnia zatarły ślady dawnych czasów, tym bardziej, że parafia na jakiś czas stała się protestancka. Tak to bywa niestety. Protestanci zacierali ślady katolicyzmu, a później, gdy wrócił katolicyzm, zostały zatarte ślady protestantyzmu. Wiele więc historycznych faktów, ciekawych z naszego punktu widzenia, zostało zatartych. Edykt restytucyjny cesarza austriackiego z 1628 roku niemal natychmiast zadziałał w Pszowie, chociaż w innych miejscowościach protestanci trzymali się jeszcze przez długie lata. Pszów więc powrócił po wielu latach do religii katolickiej. Od tego czasu dzieje Pszowa stają się bardziej jasne dzięki protokołom wizytacyjnym biskupów wrocławskich, które nakazywał sobór trydencki. Wszystko więc szło już normalnym posoborowym trybem aż do roku 1722. W tym właśnie roku wyruszyła tradycyjna już pielgrzymka Pszowian do Matki Bożej Częstochowskiej. Były to jeszcze lata, gdy władze przymykały oczy na pielgrzymki za granicę – do Polski. Ówczesny proboszcz pszowski ksiądz Panczoszek zaniemógł i wysłał na pielgrzymkę ze swymi parafianami wikarego Jana Franciszka Niemczyka. Zanim pielgrzymi wrócili do Pszowa postanowili zakupić kopię obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej u jednego z częstochowskich handlarzy. Jeden obraz szczególnie im się spodobał. Wg legendy handlarz nie bardzo miał ochotę sprzedać ten obraz, jednak mimo że próbował go ukryć, ten ciągle ukazywał się na widocznym miejscu. W końcu nie miał wyjścia i sprzedał go Pszowianom. Dumni, żeby obraz uświęcić dotknęli go do oryginalnego obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej. Obraz nie był oprawiony w ramy, więc w drodze powrotnej zgięto go w pół i został trochę uszkodzony. Postanowiono więc, że obraz zostanie odnowiony i oprawiony w ramę. Dzieło to powierzono Fryderykowi Siedleckiemu z Wodzisławia. Rzeczywiście wspaniale odnowił obraz. Jednak, jak to bywa czasem z artystami, wprowadził w obraz swoją wizję tak, że zatracił on cechy obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej.

Trzeba powiedzieć, że zmiany były fundamentalne. Obraz już nie przypominał obrazu częstochowskiego. Teraz można było mówić już o wizerunku Matki Bożej z Dzieciątkiem z Pszowa, nazwanej Matką Bożą Uśmiechniętą. Matka Boża Częstochowska ma twarz poważną, skupioną, niemal cierpiącą, a Pszowska Pani jest pogodna, lekko uśmiechnięta, pełna wdzięku, rozjaśniona w uśmiechu, dająca nadzieję i otuchę. Dzieciątko Jezus ma też twarz pogodną, radosną niemal, uśmiechniętą. Może dlatego tak bardzo przyciągała nas mieszkańców tej ziemi.

To rzeczywiście niezwykły wizerunek, tak rzadko w naszej kulturze w ten sposób przedstawiany.

Jaki jest bliski sercu!

Na początku obraz był otoczony kultem tylko w okolicach Pszowa. Jednak gdy zaczęły się dziać różne niewytłumaczalne zjawiska i łaski uzdrowień, kult zaczął się rozszerzać na cały Górny Śląsk, Dolny Śląsk i Morawy. W 1728 roku do sanktuarium od marca do maja przybyło 4000 pielgrzymów z całego Śląska i Moraw.

Wszystko to wymagało już oficjalnego zatwierdzenia kultu. Zwrócono więc się z tym do biskupa wrocławskiego.

On ostrożnie zezwolił na razie na zawieszenie obrazu w bocznym ołtarzu, chociaż było wiele świadectw i wystąpienie kolatora pszowskiego Bernarda Welczka.
Wystarczyło to jednak do uroczystej koronacji obrazu, której dokonał opat cysterski z Rud Rudolf de Strachwitz w 1732 roku. Korony wykonał ze złota Bernard Like z Raciborza.
Wota dziękczynne zostały w dużej mierze skonfiskowane po sekularyzacji w 1809 roku. Ostatni opat rudzki Bernard Galbiers zdążył jeszcze przed konfiskatą majątku klasztornego przekazać do Pszowa swój złoty, bogato ozdobiony kamieniami szlachetnymi krzyż opacki i pierścień prałacki. Niestety wszystko zostało skradzione razem z koronami maryjnymi w czasach Polski Ludowej w 1979 roku…
Smutne to, ale powróćmy do historii.
Wiele cudów było poświadczonych w tamtych i późniejszych czasach też. Tyle tysięcy pielgrzymów przychodziło do Pszowa z całego Śląska i Moraw. No z pewnością też z Pilchowic. Tak zawsze mnie to zdumiewa, bo przecież było sanktuarium maryjne w Rudach, była nasza ukochana Góra Świętej Anny, była Częstochowa, Matka Boża Piekarska… Ruch pielgrzymkowy był naprawdę duży. Pewnie większy niż dzisiaj. Ludzie mieli czas na pielgrzymki, choć życie mieli chyba trudniejsze niż dzisiaj…
Ruch pielgrzymkowy stał się tak duży, że trzeba było wybudować większy kościół. Podjęto to dzieło. W 1747 roku nowy kościół można już było poświęcić. Z tej okazji papież Pius VI udzielił odpustu zupełnego wszystkim pielgrzymom odwiedzającym sanktuarium. Wtedy to obraz z bocznej kaplicy został przeniesiony na ołtarz główny, gdzie jest do dzisiaj. Od tego czasu śpiewana jest tradycyjna pieśń:
„Królową jesteś nad doliną Odry.
Dla ziemi śląskiej Boskim darem szczodrym.
Twój uśmiech leczy wszystkie serca rany.”
Nowy kościół – sanktuarium został wybudowany pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Wielki Odpust Pszowski odbywa się 8 września i gromadzi tysiące pielgrzymów do dzisiaj.

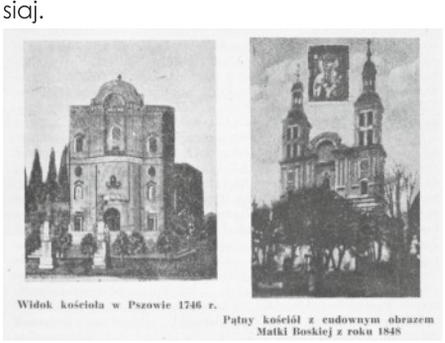
Widok kościoła w Pszowie 1746 r.
Pątny kościół z cudownym obrazem Matki Boskiej z roku 1848

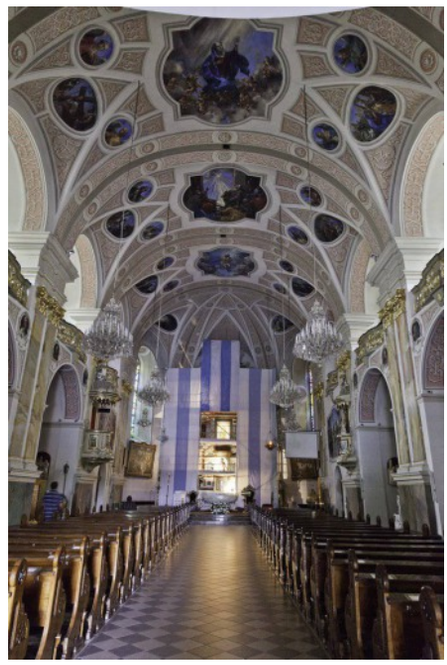

Teraz chciałbym wrócić do wątku Pilchowic. Nie znalazłem (co wcale nie znaczy, że ich nie ma) żadnych zapisów o pielgrzymowaniu Pilchowiczan. Jednak silne związki z Pszowem są bezsprzeczne. Kiedyś pisałem (zresztą nie tylko ja) o księdzu Stanisławie Siegmundzie. Zanim został naszym pilchowickim sławnym proboszczem był wielkim dobrodziejem w Pszowie.
Od 1792 roku administrował parafią w zastępstwie chorego proboszcza Petruska. Pracował tam trzy lata. Jakże owocna była to praca! W ciągu tych lat doprowadził do rozbudowy kościoła – sanktuarium.
Był jeszcze bardzo młodym duchownym, a potrafił do tego zmobilizować wiernych, a przede wszystkim okoliczną arystokrację. Jako głównych fundatorów kroniki wymieniają kolatora pszowskiego kościoła księcia von Lichnowsky oraz Józefa von Wengersky właściciela Pilchowic oraz Annę von Wengersky – żonę Antona von Wengersky z Pilchowic. Ta energia i sprawczość księdza Siegmunda były powodem tego, że został on przez właścicieli Pilchowic przedstawiony w kurii wrocławskiej jako kandydat na proboszcza w Pilchowicach. I tak się stało. Trudno sobie wyobrazić, że ksiądz Siegmund nie zachęcał swoich parafian do pielgrzymowania do Matki Uśmiechniętej. Ale to zupełnie inna historia. Wróćmy więc do Pszowa.
Jakoś tak historia kołem się toczy. Nasz majorat pilchowicki został sprzedany w 1837 r. przez Friedricha von Wengersky hrabiemu von Limburg Stirum.
Szkoda, ale takie były czasy.
Trzydzieści lat później jednak widzimy Friedricha Von Wengersky jako kolatora i właściciela Pszowa, Kokoszyc i Krzyżkowic. Ród von Wengersky od wieków cieszył się zasługą wielkiej wiary katolickiej. Z tego czasu kroniki podają ciekawą wiadomość. Otóż, kiedy nastał czas kulturkampfu, władze pruskie zakazały wszelkich zorganizowanych pielgrzymek. Dotyczyło to również pielgrzymek do cudownego obrazu Matki Bożej zwanej Uśmiechniętą w Pszowie. Wierni jednak niespecjalnie mieli ochotę dostosować się do zakazu i masowo przybywali do Pszowa z całej okolicy.
W 1872 roku pruscy żandarmi postanowili rozgonić pielgrzymów i uniemożliwić dalsze pielgrzymowanie. Ostro na to zareagował hrabia Friedrich von Wengersky. Najpierw dyplomatycznie, jednak gdy to nie przyniosło skutku, założył mundur pruskiego majora artylerii i razem ze swoimi ludźmi rozgonił żandarmów. Od tego czasu mimo kulturkampfu pielgrzymkom już nie przeszkadzano. Hrabia Friedrich von Wengersky zmarł nagle 24 grudnia 1884 roku. Został pochowany w kościele sanktuarium w Pszowie. W kościele tym pochowano również jego dwoje małoletnich dzieci. Żona hrabiego Anna znana była ze swej pobożności, jednak zbyt energicznie walczyła o wprowadzenie do liturgii języka niemieckiego, co nie wszystkim Pszowianom się podobało. Może chodziło tu o pewną równowagę w związku z wystąpieniem zbrojnym hrabiego. Pamiętajmy, że był to czas kulturkampfu. Następcą hrabiego i kolatorem pszowskiego kościoła został jego syn Johann. Sprzedał on jednak w 1893 roku swój majątek i przeniósł się z całą rodziną do Jurczyc koło Kątów Wrocławskich.

Jego syn Friedrich przybył do Pszowa głosować w plebiscycie w marcu 1921 roku.
Sanktuarium w Pszowie cieszy się do dzisiaj wielką sławą i szacunkiem, choć u nas w Pilchowicach jest trochę zapomniane. Zapewne jest to wynikiem tego, że po plebiscycie w 1921 roku Pszów znalazł się po drugiej stronie granicy. Trudne powojenne czasy też nie sprzyjały temu, żeby ruch pielgrzymkowy Pilchowiczan do Pszowa ponownie szeroko się rozwinął.
Kończąc, chciałbym zaznaczyć, że wszelkie niewytłumaczalne zjawiska, cuda i uzdrowienia, jakie dokonywały się za wstawiennictwem Matki Bożej Uśmiechniętej są szeroko opisane i znajdują się w archiwach pszowskiego sanktuarium. Podaję niewielki fragment, ciekawy również z powodu dawnego języka na Śląsku:
Dnia 10 czerwca 1729 r. Paweł Tytko 38-letni masarz z Pszowa
„Joch był na drugich gonach na polu farskim; kandy mie Pan Fararz Iwanowsky k sobie powołoł, a pole farni jest ku zapadu słońca, a kościół farni jest ku schodu słońca, a tam mi Pan Fararz pokozoł miesiąc, a ten był na obłokach jak w pół miesiąca, nie wiem jeżeli co mi abo wiency, było to we dnie przed połedniem około dziesionty godziny tak po moim rozumie, bo tu w dziedzinie zegaru nie mamy, a to było przeszłego roku, już to rok na wiosnę minoł, w ten czas było, kiedy owsy sioli i wiem, że to było w dzień czwartkowy. Kdy mi Pan Fararz miesiąc pokozoł, boch go dopiero potem widzioł strach mnie ogarnył, jakoch oboczył, i klęknułech zaraz na kolana i rzekałech jedno pozdrowienie anielskie, a to z ty przyczyny, że mie się zdało, że w ten czas miesiąc by nie mioł świecić."

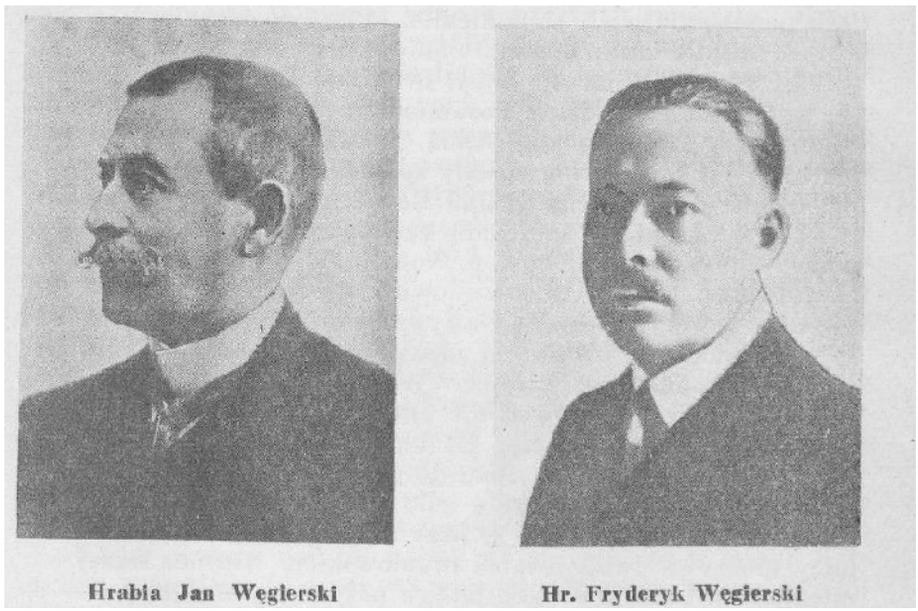
Hrabia Jan Węgierski

Hr. Fryderyk Węgierski

Wiele jeszcze można byłoby ciekawych rzeczy napisać, ale najlepiej będzie odwiedzić Pszów i zakochać się w uśmiechu Pani Pszowskiej .
W Pilchowicach 8 lipca 2025 roku.

Karol Hrubesz

Źródła:
- Konstanty Kowol - Kronika Pszowa i Rydułtów…
- Ks. Franciszek Maroń – Dzieje Pszowa
Zdjęcia pochodzą książki Konstantego Kowola i ze stron internetowych sanktuarium w Pszowie i Częstochowie.

Grób w lesie

Tragedia Górnośląska. Wydarzenia, które powoli wychodzą z mroku historii, o których nareszcie wolno mówić, o których mówi się i pisze coraz więcej. Wywózki górnośląskich mężczyzn na wschód, ale i tragiczne wydarzenia związane z przejściem wojsk radzieckiech przez Górny Śląsk. Nie brakowało ich również w naszej okolicy. Jednym z niemych świadków tamtych dni jest samotny leśny grób w Leboszowicach. Według przekazu mieszkańców pochowano tu 17-letnią dziewczynę pochodzącą z Rudy Śląskiej lub Zabrza. Działo się to zimą 1945 roku. Jedni mówią, że dziewczyna ta była służącą u gajowego na Wielopolu i uciekając przed żołnierzami sowieckimi schroniła się w leboszowickim lesie. Uciekała i broniła się, ale nie zdołała wymknąć się oprawcom. Inne źródła mówią, że kiedy przypadkowo przejeżdżała przez wieś została wraz z miejscową ludnością zapędzona przez żołnierzy sowieckich do wykonywania robót ziemnych. Pewnym jest, że została zgwałcona i zamordowana. Z obawy przed Sowietami nie przeniesiono jej ciała na pilchowicki cmentarz, lecz pochowano ją tam, gdzie zginęła. Tragedia tej młodej dziewczyny porusza serca i wyobraźnię mimo upływu lat. Musi też nadal być żywa w pamięci mieszkańców Leboszowic, bowiem po 80 latach od tamtych wydarzeń ciągle dbają o tę leśną mogiłę.
Nagrobek odnawiano już kilkakrotnie m.in. w 2015 r. z inicjatywy leśniczego Piotra Kulczyny. W tym roku, z inicjatywy mieszkańców i radnych sołeckich Leboszowic, drewniany nagrobek zastąpiono marmurowym, dzięki czemu ma szansę dłużej oprzeć się działaniu warunków atmosferycznych.
Wszelkie prace odbyły się za zgodą Lasów Państwowych i z poparciem leśniczego Piotra Kulczyny.
Dzięki zaangażowaniu mieszkańców Leboszowic miejsce to pozostanie na długo upamiętnieniem śmierci tej bezimiennej dziewczyny, a dla nas przypomnieniem tragicznych wydarzeń sprzed 80 lat.

Agnieszka Robok

Profesor Leszek Miszczyk - Ad memoriam

Gdy byłem 24 października 2024 roku na badaniu kontrolnym w Zakładzie Radioterapii Narodowego Instytutu Onkologii w Gliwicach zauważyłem tablicę upamiętniającą działalność naukową i kliniczną wybitnego, uznanego w społeczności międzynarodowej onkologa-radioterapeuty prof. Leszka Miszczyka. Chciałbym Państwu przedstawić sylwetkę tego skromnego człowieka, lekarza z powołania, który bezinteresownie pomagał innym i osiągnął dużo w zakresie medycyny onkologicznej.

Leszek Miszczyk urodzony 17 sierpnia 1965 r. w Gliwicach, po skończonych studiach na Wydziale Lekarskim Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach 1990 roku i po założeniu rodziny, zamieszkał w Wilczy. Od 1990 r. aż do śmierci pracował w gliwickim Oddziale Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie - Państwowym Instytucie Badawczym.

W Instytucie rozpoczął pracę jako młodszy asystent (lata 1990-96), później był asystentem naukowo-badawczym (lata 1996-97), w latach 1997-2002 adiunktem naukowo-badawczym.

W 1997 r. uzyskał stopień doktora nauk medycznych, w 2002 r. doktora habilitowanego nauk medycznych, z kolei w 2008 r. profesora. Specjalizował się w radioterapii onkologicznej – przez 13 lat był zastępcą kierownika Zakładu Radioterapii, a od 2011 r. do śmierci kierował tym Zakładem.

W latach 2010-2015 był zastępcą dyrektora ds. klinicznych gliwickiego Oddziału Narodowego Instytutu Onkologii, a w latach 2015-2016 zajmował stanowisko dyrektora tegoż Oddziału.

W 1997 r. pełnił funkcję konsultanta w Sekcji Radioterapii i Radiobiologii Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej w Wiedniu.

Od 1996 r. był członkiem i współorganizatorem unikalnego na skalę całego kraju, interdyscyplinarnego, Międzyośrodkowego Zespołu Guzów Kości utworzonego w Wojewódzkim Szpitalu Chirurgii Urazowej w Piekarach Śląskich. Był też stażystą Katolickiego Uniwersytetu w Leuven (Belgia - 1994 r.).

Jako profesor, w latach 2003 i 2005 wizytował z wykładami w klinikach radioterapii Uniwersytetu Południowej Kalifornii i Uniwersytetu w Los Angeles.

Był kierownikiem Międzynarodowej Szkoły Radioterapii „VAI IGRT/RPM School" w Gliwicach. W latach 2008-2011 był redaktorem naczelnym czasopisma „Onkologia Info".

W swojej pracy zawodowej specjalizował się w radioterapii raka gruczołu krokowego i od 2009 r. rozpoczęto wszczepiać pacjentom, przy raku stercza znaczników, z czystego złota najwyższej próby przed rozpoczęciem naświetlań aparaturą „CyberKnife". Znaczniki pozwalają zwiększyć precyzję naświetleń, a tym samym ograniczyć ostre i późne odczyny popromienne. Dzięki ich zastosowaniu zmniejszyła się liczba powikłań.

Doktora Miszczyka poznałem bliżej dopiero z początkiem 2020 roku podczas leczenia ww. metodą. Przedtem znany mi był z tego, że leczył niektórych moich znajomych, widywałem Go niekiedy w czasie weekendu z wędką wraz z synem Marcinem nad stawem zwanym „Cegielnią".

Za czasów ks. proboszcza Bogdana Redera był członkiem Rady Parafialnej.

Wiem, że często wracając po pracy do domu, w późnych godzinach wieczornych szedł do starszych i schorowanych sąsiadów, żeby ich leczyć. Był lekarzem z powołania i przez 30 lat doskonalił swoją wiedzę i kunszt lekarski, żeby wyleczyć jak najwięcej ludzi. Dbał również o swoich współpracowników, którzy wykonywali określone prace. Jedna z pielęgniarek przygotowując mnie do naświetleń, powiedziała mi, że niekiedy w celu rozluźnienia stresującej dla nich pracy, wydawał im polecenia w języku śląskim.

Interesował się również lokalną historią i mobilizował mnie do pisania artykułów o Wilczy.

Nie przywiązywał wagi do posiadanych tytułów naukowych poprzedzających Jego nazwisko i nigdy nikomu, kto się do niego zwrócił, nie odmówił pomocy. Był człowiekiem lubianym i szanowanym. Niestety zginął 11 maja 2021 r. w wypadku drogowym jadąc motocyklem na konsultacje do Wojewódzkiego Szpitala Chirurgii Urazowej w Piekarach. 16 września 2024 roku w Auli im. J. Święcickiego Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie odbyła się uroczystość „Profesor Leszek Miszczyk – Ad memoriam", podczas której odsłonięto tablicę upamiętniającą Profesora.

W uroczystości tej wzięli udział najbliżsi członkowie rodziny oraz pracownicy, zaproszeni goście i media.

Radni Miasta Gliwice podczas marcowej sesji 2025 roku zadecydowali, że powstałe rondo tuż obok Instytutu będzie nosiło imię profesora Leszka Miszczyka.

Wdzięczny pacjent

Ryszard Pławecki

Źródło:
post Narodowego Instytutu Onkologii w Gliwicach, Wikipedia oraz na podstawie moich prywatnych obserwacji.

Działalność Stowarzyszenia Pilchowiczanie Pilchowiczanom

od maja do lipca 2025

Maj rozpoczęliśmy tradycyjnie grillem. Jak zwykle było smacznie i wesoło.
Tydzień później Tomasz Dandy zaprezentował nam narzędzia do ćwiczeń interaktywnych, w tym stronę internetową wordwall.net.pl, gdzie można znaleźć dużo interesujących ćwiczeń – począwszy od Koła Fortuny po quizy, krzyżówki, gry.
Przy salwach śmiechu spróbowaliśmy swoich sił w dwu grach. Spotkanie było sfinansowane z programu Aktywni+ - wieloletniego programu na rzecz osób starszych ogłaszanego przez ministra do spraw polityki senioralnej.
Następny poniedziałek to spotkanie z dietetyczką Marzeną Okoń-Pietryszak z poradni dietetycznej Amarena i „Warsztaty edukacyjne z zakresu zdrowego żywienia". Pod koniec spotkania można było zrobić sobie komputerową analizę składu ciała, dzięki czemu mogliśmy poznać wiek naszego ciała „od środka".
Podczas naszych poniedziałków dbamy również o ducha – zaprosiliśmy Dagmarę Kwitek, prowadzącą spotkania filozoficzne w bibliotece w Gliwicach, która opowiedziała o filozofii szczęścia według różnych filozofów.
Nie zabrakło wspomnień z dalekich podróży – na kolejnym spotkaniu państwo Łucja i Jan Twardochowie opowiedzieli o swojej wyprawie „Z Pilchowic w Himalaje".

Na koniec czerwca wybraliśmy się na jednodniową wycieczkę do Dusznik.

Pojechaliśmy tam na zaproszenie Dariusza Giemzy - lokalnego historyka amatora, autora książki „Tajemniczy sierociniec. Duszniki Zdrój 1945-1949", który obiecał oprowadzić nas i opowiedzieć różne ciekawe historie.
Jednym z tematów miała być wizyta św. Edyty Stein w Dusznikach.
Przygotowaliśmy się oglądając wcześniej film dokumentalny o niej - „Tutaj pierwszy raz ujrzałam góry" w reżyserii Bogusławy Stanowskiej-Cichoń (pokaz autorski).
Tak przygotowani pojechaliśmy do Dusznik. Pan Dariusz Giemza okazał się istną kopalnią wiadomości.
Zwiedziliśmy jego Muzeum Skarbiec, gdzie zgromadził mnóstwo historycznych materiałów dotyczących Dusznik, pochodziliśmy po Starym Mieście i Parku Zdrojowym.
W drodze powrotnej zwiedziliśmy bazylikę Sanktuarium Wambierzyckiej Królowej Rodzin i Patronki Ziemi Kłodzkiej w Wambierzycach.
Jak co roku latem realizujemy dwa projekty finansowane przez Gminę Pilchowice.
Pierwszy - „Pilchowickie lato muzyczne", gdzie zaplanowaliśmy trzy koncerty. Dwa koncerty już się odbyły.
Pierwszy w czerwcu – koncert operetkowo-musicalowy „Letnia serenada" w wykonaniu SopraNova Trio w składzie Alicja i Joanna Wojnowskie - sopran i Anna Sułkowska - fortepian oraz Jan Turkiewicz - skrzypce.
Drugi koncert odbył się 20 lipca w pilchowickim parku – wystąpiła Orkiestra Dęta Sośnicowice i solista.
Jak zwykle koncerty spotkały się z dużym zainteresowaniem.
Realizujemy również projekt „Śląskie pieśni biesiadne – tradycja i nowoczesność".
Przez wszystkie poniedziałki lata Georg Goretzki gra i śpiewa z nami starsze i współczesne piosenki biesiadne.
Te spotkania również cieszą się dużą popularnością.
Latem jeszcze planujemy trzeci koncert z projektu „Pilchowickie lato muzyczne" - tym razem w pilchowickim kościele.
Wspólnie z Gminną Komisją Rozwiązywania Problemów Alkoholowych organizujemy kolejne kino plenerowe w pilchowickim parku – w piątek 29 sierpnia.
Już teraz serdecznie zapraszam.

Anna Surdel

Niy yno germanizmy
Nie tylko germanizmy

Godka - Gwara, czy też język śląski? Temat rzeka, którego nie sposób ująć w jednym artykule ani w jednej książce. Spory dotyczące śląskiej godki (języka śląskiego) toczą się od wielu lat i czasem rozgrzewają adwersarzy do „czerwoności" – szczególnie polityków, którzy pragną być ekspertami w każdej dziedzinie. Jedni zarzucają środowiskom śląskim (starającym się o uznanie godki za język regionalny) działania szkodliwe dla Polski. Wysuwają argumenty, jakoby śląska godka była odmianą staropolskiego języka i nie może być uznana za odrębny język.

Sztandarowym argumentem środowisk tzw. polsko-patriotycznych są wypowiedzi profesora Jana Miodka, który w sposób naukowy próbuje negować istnienie języka śląskiego posługując się cytatem z Księgi Henrykowskiej „Day, ut ia pobrusa, a ti poziwai" (Daj, niech ja pomielę, a ty odpoczywaj), który uważa za jeden z najstarszych zapisów w języku polskim.
Co ciekawe, niektórzy czescy językoznawcy uważają, iż cytat ten jest zapisany w języku staroczeskim.
Może to być bardziej prawdopodobne, ponieważ pierwsza udokumentowana przynależność państwowa Śląska wiąże się z Rzeszą Wielkomorawską i późniejszym Państwem Przemyślidów.
Wracając do polityków - z drugiej strony sceny - tych liberalno-lewicowych, którzy w ostatnim czasie próbują zbić kapitał polityczny forsując w Sejmie ustawę o śląskim języku regionalnym.
Wiadomo jednak, że ani obecny prezydent, ani prezydent elekt raczej takiej ustawy nie podpiszą. Działania te prowadzą do niepotrzebnych napięć społecznych.
Ciekawa sytuacja miała miejsce niedawno w Parlamencie Europejskim, gdzie lewicowy europoseł ze Śląska, Łukasz Kohut, rozpoczął jedno ze swoich przemówień w języku śląskim, co wywołało konsternację u tłumacza.
Podobna scena wydarzyła się również w polskim Sejmie, gdzie śląski poseł pan Roman Fritz z Konfederacji Korony Polskiej piękną śląszczyzną próbował przekonać parlamentarzystów, iż język śląski nie istnieje, a to, czym się posługuje, to jedynie gwara śląska. Ci, którzy twierdzą inaczej, w jego mnie-maniu działają na szkodę Polski.
Powtórzę: sprawa języka śląskiego nie powinna być rozstrzygana przez polityków, lecz przez niezależnych językoznawców – choć zebranie takiego bezstronnego zespołu może być trudne. Niemniej w ostatnim czasie zaczyna wyłaniać się grupa językoznawców i pisarzy, którzy próbują w sposób rzetelny i naukowy udowodnić, że język śląski może być traktowany jak język regionalny – tak samo jak kaszubski.
Na czele tej grupy stoją m.in. profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, lingwista i polonista urodzony w Gliwicach – Henryk Jaroszewicz, profesor Joanna Roztopowicz z Uniwersytetu Opolskiego, profesor Jolanta Tambor oraz profesor Zbigniew Kadłubek z Uniwersytetu Śląskiego, a także pisarze: Szczepan Twardoch, Alojzy Lysko, Zbigniew Rokita, śp. Dariusz Dyrda, Darek Jarczyński, Marian Kulik i Grzegorz Kulik – przewodniczący Rady Języka Śląskiego.
Znakomitą pracę w tej dziedzinie wykonuje Pejter Długosz – dyrektor wydawnictwa Silesia Progress.
Również świetną robotę w promowaniu języka śląskiego wykonuje teatr Korez z Katowic pod przewodnictwem pana Mirosława Neinerta, którego sztandarowym przedstawieniem po śląsku jest „Mianujom mie Hanka".
To monolog, w którym pani Grażyna Bułka przez swoją grę przekazuje widzowi ducha śląskości.
Nie można zapomnieć o Teatrze Wyspiańskiego z Katowic, którego dyrektorem jest pan Robert Talarczyk. To on co jakiś czas wystawia sztuki w języku śląskim, często bazując na powieściach Szczepana Twardocha.
Lista teatrów grających po śląsku stale się powiększa. Jest wśród nich spora grupa teatrów amatorskich.

Może nieskromnie z mojej strony, ale pochodzący z Żernicy Patryk Klos - reżyser amatorskiego teatru „Tradycja" w Rozmierzy - zrealizował już kilka sztuk w języku śląskim korzystając z pomocy profesora Zbigniewa Kadłubka z Uniwersytetu Śląskiego oraz dr Michaela Sowy – śląskiego pisarza z Berlina.

W ostatnim czasie sam profesor Jan Miodek zaczyna zmieniać swoje stanowisko względem śląszczyzny, co daje nadzieję, że również inni profesorowie poloniści podejdą do tej kwestii w bardziej rzeczowy i przyjazny sposób.

Po tym, być może długim, wstępie, pragnę odnieść się do tytułu artykułu. Wiele lat temu chciałem wystartować w konkursie „Po naszemu - czyli po śląsku".

Nawiązałem kontakt ze śp. panią Marią Pańczyk organizatorką tego cyklicznego konkursu. Niestety, gdy doszło do przesłuchania mojej godki, musiałem zrezygnować z dalszych aspiracji - okazało się, że w mojej godce jest za dużo germanizmów.

Kiedy mówiłem opa, pani Pańczyk poprawiała mnie, że opa to starzik czyli po polsku dziadek, a fuzekle to zoki, czyli po polsku skarpetki.

Nie ujmuję zasług pani Pańczyk w zakresie zachowania śląskiej godki - świeć Panie nad Jej duszą - ale jej podejście wykluczające germanizmy wydaje się przesadzone. Wielu z nas nie zdaje sobie sprawy, ile germanizmów i innych zapożyczeń zawiera sam język polski.

Zabawna sytuacja miała miejsce za czasów prezydentury Bronisława Komorowskiego, kiedy w telewizji przekonywał, że śrubokręt nie jest poprawnym słowem, bo to germanizm - i że należy mówić wkrętak.

Niemiecki Rathaus to po polsku ratusz, a Ring to rynek - i tak dalej.

W całej tej dyskusji wokół języka śląskiego zapomina się o wpływach języka czeskiego, morawskiego, a nawet słowackiego. Czeska haderka to śląska hadra, po polsku ścierka; czeskie kolo to śląskie koło, po polsku rower; czeskie woniaty to śląskie woniać, czyli pachnieć; słowacki kviet to nasz kwiotek, czyli kwiat.

Przykładów można by podać jeszcze wiele. Prawdopodobnie czechizmów w języku śląskim jest więcej niż germanizmów, ale – o ile mi wiadomo – nie przeprowadzono jeszcze takich lingwistycznych badań.

Kończąc powoli chciałbym zatrzymać się na dwóch starosłowiańskich słowach, a szczególnie na jednym, które wciąż jest używane w niektórych regionach Górnego Śląska. Słowo to skot, czyli bydło rogate. Parafrazując – skotnica to droga prowadząca bydło na pastwisko. Do dziś najstarsi mieszkańcy Żernicy na ulicę Gliwicką mówią Skotnica, a w Sierakowicach istnieje nawet ulica o tej nazwie.

Słowo skot jest też używane w Czechach i w niektórych regionach Bałkanów. Nawet czeski przemysł zbrojeniowy w latach 60. wyprodukował wóz bojowy piechoty, który potocznie nazywano skotem.

W 1981 roku, będąc w LWP podczas stanu wojennego, miałem „przyjemność" podróżować takim pojazdem.

Kilka wydań temu pisałem w tym czasopiśmie, iż ubolewam nad tym, co spotkało naszą miejscowość w 1945 roku. Nazwa Żernica nie ma nic wspólnego ze starosłowiańską nazwą zapisaną po łacinie w 1246 roku, jako Sierdnicha. Słowo to wywodzi się od „styrni", „żyrni" – oznaczających ściernisko lub ziarno.

Nawet niemieccy koloniści, którzy przybyli do naszej miejscowości w 1279 roku, starali się, aby nazwa pozostała jak najbliższa pierwowzorowi – zapisując ją jako Zernitz.

Niestety, spuścizna mrocznego komunizmu ciąży na nas i naszej miejscowości od 1945 roku. Nazwa Żernica nie ma nic wspólnego z historyczną tożsamością tego miejsca. Może i ta nazwa zostanie kiedyś zmieniona – tak jak zlikwidowano wiele pomników Lenina, które po 1945 roku pojawiły się w całej Polsce. Miejmy nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy obecna Żernica stanie się znów Zernitzą, a najlepiej jak wróci do swojej pierwotnej formy: Sierdnicha.

Ingemar Klos

PS. Moim pragnieniem jest, aby godka śląska została w Polsce uznana za język regionalny, a nazwa naszej miejscowości powróciła do swoich najstarszych zapisów. Kiedyś Mahatma Gandhi powiedział:

„Jeżeli jeden marzy, to marzenie pozostaje marzeniem. Jeżeli marzy wielu – marzenie staje się rzeczywistością."

O tym, jak córka von Schroetera książkę napisała, a jego wnuk został upamiętniony w Oxfordzie

O właścicielach pałacu w Kuźni Nieborowskiej pisałam w 2022 r. Od tego czasu udało się jednak nieco rozszerzyć i wzbogacić te informacje.

Z pomocą przyszły zasoby bibliotek cyfrowych i zgromadzone czasopisma sprzed stu lat. Zamieszczone tam ogłoszenia czy nekrologi są dla nas ciekawym źródłem informacji.

Zaskakująco obfitym źródłem okazały się również powojenne śląskie czasopisma niemieckojęzyczne.

Przypomnę, że właścicielem Kuźni i mieszkańcem tamtejszego pałacu na przełomie XIX i XX w. był Paul von Schroeter. Przez 15 lat pełnił on funkcję landrata (czyli starosty) gliwickiego.

O jego zasługach dla regionu świadczy nekrolog zamieszony po jego śmierci w 1907 r. w Tost-Gleiwitzer Kreistblatt. Pod wyrazami uznania dla pracy Paula von Schroetera podpisały się największe postaci tamtych czasów m.in. hrabia von Ballestrem i hrabia von Welczek.

Paul von Schroeter usynowił dwóch chłopców - synów swojej żony z pierwszego małżeństwa: Kurta (1886–1946) i Otto. Udało się ustalić, że Otto von Friedrich - Schroeter był adwokatem w Strzelcach Opolskich, natomiast Kurt (który odziedziczył Kuźnię Nieborowską)- porucznikiem pułku huzarów króla Wilhelma I.

Jak się okazuje Kurt był również wielkim miłośnikiem drzew oraz prezesem Niemieckiego Towarzystwa Dendrologicznego. Jego esej napisany w 1936 roku stał się głównym bodźcem do utworzenia Reichs Arboretum, którego został potem wiceprzewodniczącym.

Ale Paul von Schroeter oprócz dwóch adoptowanych synów miał również dwie rodzone córki: Irmę (1892–1980) i Wilmę (1894-1989).

Kobiety te pozostały we wspomnieniach najstarszych mieszkanek Kuźni, uczyły bowiem młode dziewczyny szycia, prowadzenia gospodarstwa domowego, gotowania oraz dobrych manier.

Dzięki ogłoszeniu w Oberschlesien Wanderer dowiadujemy się, że starsza z córek - Irma - w 1913 roku zaręczyła się z landratem pszczyńskim Maxem von Ruperti.

Ślub odbył się jeszcze w tym samym roku.

Ruperti był landratem od 1909 do 1922 r., kiedy to Pszczyna stała się polska. Ciekawe są dalsze losy męża „naszej" Irmy von Schroeter. W 1924 roku został on landratem powiatu Allenstein (dzisiejszy Olsztyn). Jednym z jego pierwszych oficjalnych aktów było wmurowanie kamienia węgielnego pod pomnik upamiętniający bitwę pod Tannenbergiem.

Adolf Hitler chciał wykorzystać ten obiekt do swojej propagandy. Ruperti zakazał jednak pojawienia się NSDAP na planowanej w 1932 roku uroczystości, gdyż „byłoby to sprzeczne z bezstronnym charakterem pomnika.

„Według raportu w „Völkischer Observer" z 21 kwietnia 1932 r. „Hitler jedynie złożył wieniec i milczał wspominając przez kilka minut swoich zmarłych braci." Za ten afront Hitler „zemścił się", zwalniając telegraficznie 61-letniego Rupertiego ze stanowiska natychmiast po przejęciu przez siebie władzy w marcu 1933 r. Ruperti nie mógł nawet pożegnać się z podległymi mu władzami. Wszyscy ubolewali nad jego dymisją.

Nie piastując ponownie urzędu publicznego, Ruperti mieszkał później w Getyndze. Zmarł w szpitalu w Einbeck. Tak więc Max von Ruperti wraz z wywodząca się z Kuźni żoną Irmą zostali ukarani za przeciwstawienie się Hitlerowi. Von Ruperti zdziałał wiele dobrego podczas zarządzania powiatem olsztyńskim. Również jego żona Irma była bardzo aktywna, działając m.in. w Niemieckim Czerwonym Krzyżu, gdzie zajmowała wysokie stanowiska honorowe. Podejmowała „imponujące wysiłki na rzecz przeciwdziałania wpływowi Wielkiego Kryzysu".

Założyła Instytut dla dziewcząt z rolniczych rodzin, gdzie szkolono je w praktycznych umiejętnościach, takich jak rękodzieło, ale także zapoznawano z muzyką ludową i kulturą.

Państwo von Ruperti mieli dwóch synów i dwie córki. Obaj synowie Justus-Carl zwany Juscar (1914–1943) i Hans-Jürgen (1917–1941) zginęli podczas II wojny światowej.

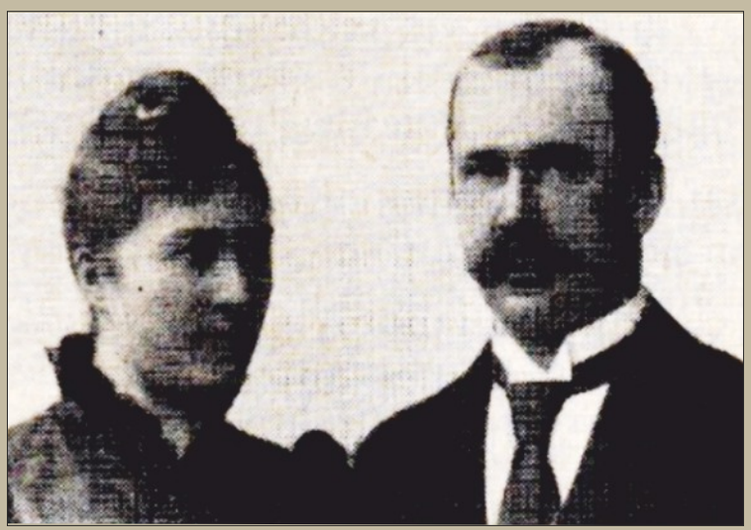

Anna von Schroeter (z domu von Hegenscheidt) i Paul von Schroter

Wilma Ruediger (z domu von Schroter) z mężem Herbertem w dniu Złotych Godów (1967 r.)

Córka Wiktoria wyszła za mąż za von Klencke, druga córka - Maria Dorothee pozostała niezamężna.

Dzieci von Rupertich wzrastały w atmosferze dobrze pojętej służby dla ojczyzny, jakiej poświęcał się zarówno ich ojciec jak i matka. Goszcząca u nich kanadyjka określiła ich jako „otwartych, przeciwnych militaryzmowi i motywowanych silnym poczuciem społecznej odpowiedzialności." Z Justusem von Ruperti wiąże się ciekawostka. Otóż jest on jedynym Niemcem, którego upamiętniono tablicą na ścianach Oxfordu. Mieści się ona w Kaplicy w Brasenose College i napisano na niej, że „zginął za swój kraj". Justus był studentem Oxfordu na wydziale ekonomii i nauk politycznych. Koledzy wspominali, że „Ruperti nie był sympatykiem nazistów, a wręcz przeciwnie, był człowiekiem o liberalnych poglądach politycznych". Mimo, że nie zgadzał się z poglądami Hitlera, uznał, że jego obowiązkiem jest walka za ojczyznę. Zginął w bitwie pod Kurskiem. Tak oto potomek mieszkańców pałacu w Kuźni Nieborowskiej został upamiętniony w dalekim Oxfordzie.

Tablica upamiętniająca Justusa von Reperti w Oxfordzie.

Siostry Irmę i Wilmę von Schroeter łączyła z pewnością chęć niesienia pomocy. Młodsza z sióstr - Wilma w młodości była pasjonatką jazdy konnej. Lecz przede wszystkim chciała pomagać innym. W 1913 roku w wieku 19 lat wstąpiła jako wolontariuszka do Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

Podczas I wojny światowej służyła w gliwickich szpitalach jako pomoc pielęgniarska. Po wojnie wstąpiła do Związku Prowincjonalnego Niemieckiego Czerwonego Krzyża Górnego i Dolnego Śląska we Wrocławiu. Funkcję przewodniczącej pełniła do swojej rezygnacji w 1938 r. W czasie II wojny światowej Czerwony Krzyż powierzył jej zadania w Norwegii (1940-41) i w Rosji (w 1942 r.). Za swoją służbę została odznaczona licznymi odznaczeniami czasu wojny i pokoju. „Nawet dziś jej serce bije dla Czerwonego Krzyża" pisano o niej w 1967 r. W 1962 r. wydała książkę „Kobiety w służbie ludzkości". Opisała tam swoje doświadczenia w Niemieckim Czerwonym Krzyżu od 1914 do Friedlandu (obóz dla uchodźców stworzony w 1945 r. - przyp.red.).

W swoich wspomnieniach córka Paula von Schroetera opisuje również trudne losy Śląska i Ślązaków. Wilma von Schroeter w 1917 r. wyszła za Herberta Ruediger (ur.1887 w Meklenburgii).

Walczył on na frontach I wojny światowej. W latach 1921-30 był współwłaścicielem fabryki chemicznej we Wrocławiu. Od 1931 r. prowadził interesy w Bytomiu, gdzie zamieszkiwał w zamku w Szombierkach (zbudowanym sto lat wcześniej przez słynnego Karola Godulę).

Wilma i Herbert Ruediger uciekli do Westfalii w 1945 r.

W 1967 r. świętowali Złote Gody będąc w dobrym zdrowiu.

Wilma zmarła 26 września 1989 r. Gottinger-Geismar (mając 95 lat).

Dawni mieszkańcy pałacu w Kuźni Nieborowskiej powoli wychodzą z mroków zapomnienia. Dowiadujemy się, że byli to ludzie, którzy starali się jak najlepiej służyć swojemu krajowi i otaczającym ich ludziom, dając swoje siły, zapał, czas a niejednokrotnie i życie.

Myślę, że wiele jeszcze ciekawych informacji o rodzinie von Schroeter i samej Kuźni czeka na odkrycie. Z pewnością też niemało zdjęć i pamiątek leży jeszcze w szufladach mieszkańców tej urokliwej miejscowości i niemało wspomnień czeka na utrwalenie. Zachęcamy do podzielenia się nimi z redakcją. Można to uczynić również za pośrednictwem pani sołtys Bożeny Koprjaniuk.

Ogromne podziękowania dla pana Łukasza Górnickiego, za wskazanie digi-shelf.de jako nieocenionego źródła wiedzy o historii lokalnej.

Agnieszka Robok

Źródła:
https://de-academic.com/dic.nsf/dewiki/2503500
https://llewelynmorgan.com/2017/08/19/the-german-from-brasenose/
https://www.glospszczynski.pl/historia/1562-pszczynscy-starostowie-przedstu-laty
Der Oberschlesischer Wanderer 1913 nr 44
Tost-Gleiwitzer Kreisblatt 1907 nr 53
Gliwitzer-Beutener- Tarnowitzer-Heimatkreisblatt 1963
Gliwitzer-Beutener- Tarnowitzer-Heimatkreisblatt 1967
Wikipedia

METALLCO

ZAUFANY PARTNER NA KAŻDYM ETAPIE
KOMPLEKSOWE WSPARCIE W JEDNYM MIEJSCU.

44-144 ŻERNICA, UL. GLIWICKA 3

DZIAŁ HANDLOWY: +48 730 239 315
SKLEP INTERNETOWY: +48 693 361 153

WWW.METALLCO.PL

Firma z ponad 40 letnią tradycją

KONSTRUKCJE STALOWE

HURTOWNIA BUDOWLANA

STACJA PALIW

WYROBY HUTNICZE

ZBROJARNIA

BLACHY

Mikołowski Bank Spółdzielczy
BANKOMBS
Mój Bank Spółdzielczy

EKO KREDYT GOTÓWKOWY

- Atrakcyjne oprocentowanie
- Niska prowizja
- Okres kredytowania aż do 96 miesięcy
- Brak ukrytych kosztów

RRSO wynosi 11,43 % na podstawie przykładu reprezentatywnego: Kwota kredytu 15.000,00 zł, oprocentowanie zmienne 7,20 % w stosunku rocznym, kredyt spłacany w 36 miesięcznych równych ratach (35 równych rat w kwocie 464,58 zł i ostatnia rata wyrównawcza 466,10 zł). Prowizja za udzielenie wynosi 786,67 zł- płatna w dniu udzielenia. Całkowity koszt kredytu wyniesie 2.513,07 zł. Całkowita kwota do zapłaty wyniesie 17.513,07 zł. Stan na dzień 31-03-2021 r.

INTERNET W GMINIE PILCHOWICE

www.alkom.info

ŚWIATŁOWÓD

JAMBOX
TELEWIZJA

Od ponad 20 lat tworzymy Internet w Gminie Pilchowice!

Więcej informacji:
www.alkom.info | umowy@alkom.info | 507-178-546

44-145 Pilchowice, ul. Rynek 27

PROGNOSTIC

PRZYCHODNIA SPECJALISTYCZNA PROGNOSTIC
Knurów ul. Kozielka 8, tel. 32 236-30-10

ZAPRASZAMY NA KONSULTACJE LEKARSKIE U SPECJALISTÓW:

• kardiolog	• ginekolog	• fizjoterapeuta
• ortopeda	• dermatolog	• pulmonolog
• diabetolog	• hematolog	• reumatolog
• endokrynolog	• neurolog	• stomatolog
• chirurg	• psychiatra	• radiolog
• gastrolog	• psycholog	• urolog

USG • RTG • EMG • TESTY WYSIŁKOWE

Apteka św. Barbary

- Pilchowice, ul. Dworcowa 22
  pon.-pt. 8.00-19.00, sob. 8.00-13.00
  tel. 32 235-65-80
- Punkt Apteczny: Wilcza, ul. K. Miarki 123
  pon.-pt. 8.00-16.00, sob. 8.00-12.00
  tel. 32 239-72-20

MONZA
CAR SPA

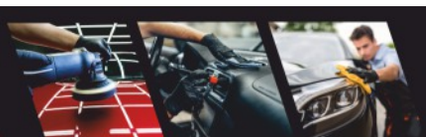

Monza Car Spa to miejsce, o którym marzy Twój samochód.

- Korekta lakieru
- Aplikacja powłok ceramicznych oraz wosków
- Detailing wnętrza
- Pranie i impregnacja tapicerki
- Przygotowanie auta do sprzedaży
- Zabezpieczenie nowego auta

Monza Car Spa
@detailingmonza

Pilchowice,
ul. Leboszowska 36f
Tel. 502 732 507

PPK

PILCHOWICKIE PRZEDSIĘBIORSTWO KOMUNALNE Sp. z o.o.

www.ppk.pilchowice.pl